

W cieniu ryzyka konfliktu globalnego

12 sierpnia 2024

W ostatnich trzech dekadach od zakończenia „zimnej wojny” zaobserwowano deficyt myślenia teoretycznego w nauce o stosunkach międzynarodowych. Przede wszystkim zabrakło pomysłu na nową wizję ładu międzynarodowego, która pomogłaby w odwróceniu kumulacji negatywnych trendów i zjawisk kryzysowych w świecie.

Zastosowano stare koncepcje, wyprowadzane z tradycji realistycznej i praktyki zimnowojennej, które nie pasowały do wyzwań transformacji systemu międzynarodowego. Sytuację pogarszali neoliberalni globaliści i konstruktywistyczni neofici, którzy uwierzyli, że mocarstwo realizujące politykę liberalnego hegemonizmu poprzez bezpośrednią ingerencję w życie polityczne innych państw ograniczy konfliktogenność w stosunkach międzynarodowych. Stało się akurat odwrotnie.

Przede wszystkim ulegano ciągle starym schematom traktującym system międzynarodowy albo w prymitywnych kategoriach geopolitycznych walki i rywalizacji, albo przez pryzmat nieograniczonej globalizacji, wymuszającej kooperację i kosmopolityzację (na warunkach amerykańskich). Skutki rozpadu międzynarodowego ładu gospodarczego i politycznego, ukształtowanego po II wojnie światowej, iluzoryczne „zwycięstwo” Zachodu w „zimnej wojnie”, wreszcie utrata cywilizacyjnego przywództwa przez najbogatsze państwa kapitalistyczne, zostały spotęgowane nie tylko przez trudną do opanowania pandemię Covid-19, ale także kryzys elit – tak politycznych, jak intelektualnych. W jego rezultacie występują liczne błędy w kierowaniu polityką w stosunkach międzynarodowych, a przede wszystkim w diagnozowaniu źródeł zagrożeń. Potrzebne stało się gruntowne przemyślenie modeli rozwojowych współczesnego kapitalizmu i zdolności do

przywrócenia równowagi międzynarodowej.

Ze względu na pychę i nieustanną potrzebę dowodzenia przewagi Zachodu nad innymi mamy do czynienia w skali niespotykanej dotąd w historii z utratą instynktu samozachowawczego, która wyraża się nie tylko w pazerności eksploatacyjnej planety, ale także w niszczeniu życiodajnego środowiska przyrodniczego i intensyfikacji wyścigu zbrojeń, grożącym totalną anihilacją ludzkości. Narastająca wojowniczość ze strony najsilniejszych państw i ugrupowań, kamuflowana ideologicznymi hasłami „posłannictwa dziejowego” prowadzi do narastania zagrożeń w postaci wojny globalnej.

Co jest obecnie najbardziej niepokojące, to to, że ideologia „internacjonalizmu demokratycznego”, oparta na przekonaniu, iż wartości zachodnie mają charakter uniwersalny i zasługują na szerzenie nawet przy użyciu siły, determinuje wszystkie procesy decyzyjne. Pomimo znacznego ryzyka katastrofy decydenci wielkich potęg są skłonni grozić użyciem siły lub do niej sięgać, co świadczy o zmianie priorytetów – utrzymanie hegemonii USA i Zachodu stało się ważniejsze niż przetrwanie planety w swym integralnym kształcie.

Środowisko międzynarodowe nigdy nie było łatwe do zrozumienia, ze względu na swój poliarchiczny i policentryczny charakter. Jest to sfera życia społecznego o dużym stopniu niepewności i nieprzewidywalności, zmienności i wieloznaczności. Ogromne różnicowanie uczestników i trudności w rozpoznawaniu kodów kulturowych prowadzą często do tworzenia wizerunków ułomnych i fałszywego odczytywania ich intencji. Poza tym, najbardziej utrudniającym poznanie istoty zjawisk i procesów jest ograniczony dostęp do obiektywnej informacji, zakłócenia poznawcze i świadome wprowadzanie swoich i obcych w błąd. W tej sferze szczególnie negatywną rolę odgrywają media masowe, służebne wobec wielkiego kapitału, posłuszne służbom specjalnym i układom oligarchicznym. Ze względu na kłamstwa, manipulacje, oszustwa i iluzje potęguje się uczucie strachu i nieprzewidywalności.

Niestabilna Ameryka

Wystarczy spojrzeć na sytuację w Stanach Zjednoczonych, kiedy przez długi czas wprowadzano opinię społeczną w błąd, broniąc prawidłowego wizerunku urzędującego prezydenta, jako osoby sprawnej i świadomej podejmowanych decyzji. Po debacie Bidena z Trumpem 28 czerwca 2024 roku okazało się nagle, że na czele mocarstwa stoi człowiek w stanie ciężkiej demencji. Ileż niepewności i ryzyka wiązało się i wiąże z decyzjami czy wpływem na nie takiego polityka! Co ciekawe, nikt dotąd w Ameryce nie pokusił się o rzetelną i jawną analizę, jak wygląda nie tyle zdrowie ciągle będącego u sterów władzy przywódcy, ile jego faktyczna kontrola nad sprawami strategicznymi, kto naprawdę koordynuje politykę mocarstwa, odpowiadającego za stabilność całego systemu międzynarodowego.

Podobnie nic pewnego nie rokuje wybór Donalda Trumpa czy Kamali Harris na urząd prezydenta USA w jesiennych wyborach 2024 roku. Klasyczni realiści, od Hansa Morgenthaua poczynając, pokładali nadzieje – tak jak niegdyś Niccolo Machiavelli – w roztropności mężów stanu i dyplomatów. W historii przywódcy byli zawsze sądzeni po tym, czy potrafili stawić czoła największym problemom ludzkości, czy ich decyzje wychodziły naprzeciw wyzwaniom i zagrożeniom, zanim udało się przewidzieć ich rezultat. Ani po Trumpie, do którego już dawno przyłgnęło określenie, że jest nieprzewidywalny, ani po Harris, o której mówi się w Ameryce, że jest absolutną ignorantką w sprawach międzynarodowych, nie można się spodziewać, że sprostają zadaniom, jako przywódcy największego mocarstwa.

Każda aktywność państw – i ta o znaczeniu kooperacyjnym, i ta o charakterze rywalizacyjnym – jest z natury sprawą ryzykowną. Decydenci dokonują wyborów spośród możliwych wariantów rozwiązania problemów zanim jeszcze uda im się zebrać całą pożądaną wiedzę i zyskać pewność. Działania oparte są na rachunku prawdopodobieństwa. Byłyby one nierozsądne, gdyby cofały się przed podejmowaniem ryzyka. Są natomiast rozsądne

tylko w tej mierze, w jakiej z owym ryzykiem się liczą. Być może świat został obecnie postawiony w sytuacji takiej niepewności i ryzyka, że naprawdę wszystko może się zdarzyć, łącznie z wojną domową w USA. Taki obrót spraw może okazać się zaskoczeniem na miarę „czarnego łabędzia”. To miano nadał konsekwencjom przypadkowych i nieprzewidywalnych zdarzeń Nassim N. Taleb w książce okrzyczanej bestsellerem („Czarny łabędź. Jak nieprzewidywalne zdarzenia rządzą naszym życiem”, Poznań 2020). Nikt nie wie, jakie mogą być konkretne następstwa takich zdarzeń. Wiadomo jednak, że mogą mieć charakter katastrofalny, pod wieloma względami nietypowy, szokowy i masowy.

Z tych względów procesy decyzyjne w państwach uległy skomplikowaniu. Relacje między przyczynami a skutkami stały się słabo rozpoznawalne. Poszukiwanie regularności czy prawidłowości, a także budowanie predykcji i prognoz jest z góry skazane na niepowodzenie. Dzieje się tak z powodu subiektywizmu ocen stanów wyjściowych, aksjologizacji i ideologizacji oraz rozmaitych aberracji poznawczych (błędów percepcyjnych i atrybucyjnych), ale także konsekwencji przypadków i zdarzeń losowych.

Przyszłość ładu międzynarodowego, podlegającego dekompozycji, jest determinowana przede wszystkim przez ryzyko wybuchu globalnego konfliktu, warunkowanego w dużej mierze przez nieokiełznany wyścig zbrojeń, zwłaszcza proliferację broni jądrowej i utratę kontroli nad jej użyciem. Katastrofalne następstwa takiego starcia – mimo obniżania się progu strategicznej wstrzemięźliwości przed użyciem broni masowej zagłady – byłyby tak wielkie, że decydenci wszystkich stron posiadających broń jądrową wciąż starają się swoje wojownicze zapędy utrzymać w ryzach. Dlatego wielu analityków podtrzymuje tezę, że wojna jądrowa pozostaje jedynie straszakiem, zwłaszcza po stronie rosyjskiej, a zmasowane ataki przy użyciu tej broni są mniej prawdopodobne niż w czasach „zimnej wojny” w fazie największych kryzysów, na przykład karaibskiego z 1962

roku.

Przede wszystkim to Stany Zjednoczone czują się najbardziej zagrożone ze względu na rosnącą potęgę Chin. Same zresztą pomogły w obudzeniu „drzemiącego smoka”. Ponieważ strategicznym wyzwaniem jest także dla nich „rosyjski niedźwiedź”, stąd przyjęcie tzw. sekwencjonowania strategicznego (Wess Mitchell), polegającego na koncepcyjnym rozdzieleniu w czasie zbrojnej konfrontacji – najpierw z Rosją, a potem z Chinami. W USA nie brakuje diagnoz globalnego bilansu sił. Okazuje się, że potencjalni przeciwnicy i aktualni rywale dysponują potęgą większą niż kiedyś III Rzesza i Japonia razem wzięte, przeciwko którym stanęła potęga aliantów z czasów II wojny światowej.

Przebieg wojny na Ukrainie pokazuje po dwóch latach wspierania Kijowa, że scenariusz zaangażowania by proxy wyraźnie rozminął się z oczekiwaniami decydentów amerykańskich. Chiny bowiem odgrywają coraz większą rolę w powstrzymaniu USA na Ukrainie, a zatem przejmują inicjatywę w regulowaniu problemów bezpieczeństwa międzynarodowego. Jeśli USA nie pogodzą się z takim obrotem spraw, może dojść – zgodnie z logiką tzw. pułapki Tukidydesa – do zbrojnej konfrontacji amerykańsko-chińskiej, przy udziale Rosji po stronie Państwa Środka. Powstaje jednak pytanie, czy przy braku czytelnej koncepcji w samych Stanach Zjednoczonych ze względu na kryzys przywództwa, administracje amerykańskie są gotowe do podjęcia tak radykalnych działań?

Powstrzymywanie Chin...

jest przedmiotem ponadpartyjnego konsensusu w USA. Polem bitwy jest suwerenność technologiczna każdej ze stron i skracanie dystansu wojskowej potęgi dzięki wzrostowi bogactwa strony chińskiej. „Czerwoną linię” konfrontacji amerykańsko-chińskiej wyznacza złamanie prymatu USA właśnie w dziedzinie wojskowej – na morzach i w powietrzu. Z tych powodów jesteśmy świadkami

nasilonej konfrontacji amerykańsko-chińskiej, co wcale nie musi oznaczać wzrostu ryzyka konfliktu globalnego. Perspektywiczne dołączenie ChRL do pierwszej „ligi jądrowej” w skali planety będzie bowiem oznaczać globalną rewolucję geostrategiczną, która radykalnie zmieni kalkulacje ryzyka pierwszego ataku jądrowego. Jeśli zostanie przywrócony znany z czasów „zimnej wojny” mechanizm wzajemnego gwarantowanego zniszczenia (mutually assured destruction) w trójkącie USA-Rosja-Chiny, to ryzyko takiego konfliktu wyraźnie spadnie, gdyż wzrośnie wiarygodność ukarania każdego z potencjalnych agresorów przez dwu pozostałych. Inne „potęgi” nuklearne w tym starciu nie będą miały większego znaczenia.

W szacowaniu ryzyka konfliktu globalnego warto wziąć także pod uwagę czynnik niewymierny, ale niezwykle istotny z punktu widzenia mobilizacji społecznej. Jest to determinacja rządzących i motywacje społeczne do udziału w wojnie „aż do zwycięstwa”. Otóż i Rosja, i Chiny mają nieprzebrane rezerwy mobilizacyjne dla „wojen ojczyźnianych, „wojen świętych”, w imię obrony interesów egzystencjalnych. W podzielonym i skłóconym społeczeństwie amerykańskim trudno o taką mobilizację, zwłaszcza że w doktrynie strategicznej USA nie znajdujemy odpowiedzi, jak to mocarstwo broniące swojej hegemonii poradziłoby sobie z kontrolą i podporządkowaniem setek milionów ludzi i niezmiernych terytoriów.

W grę wchodzi także współzależności gospodarcze między USA a Chinami, których nie było między Ameryką a ZSRR w okresie „zimnej wojny”. Zerwanie więzi kooperacyjnych spowodowałoby we współczesnym systemie międzynarodowym zapaść nie tylko walczących stron, ale i całego świata. Suma produkcji tych dwóch gigantów – USA i Chin, stanowi ponad 40 procent wytwórczości całej planety. Trudno zatem wyobrazić sobie rozmiar strat, gdyby te dwie największe gospodarki znalazły się w stanie wielkiej wojny.

Nadzieje należy wiązać przede wszystkim z chińską kulturą strategiczną, która opiera się na „długim trwaniu” i

niezwykłej cierpliwości w dochodzeniu do swoich celów. Chińczycy doskonale zdają sobie sprawę, że mogą „zdetronizować” Amerykę bez sięgania do globalnej wojny. Jeśli same nie zostaną zaatakowane, to będą dążyć do „zwycięstwa bez walki”, zgodnie z doktryną Sun Tzu, ukształtowaną w długim procesie historycznym. Patrząc z perspektywy chińskiej, rywalizacja potęg wcale nie musi przybierać charakteru wielkiego militarnego zwarcia. W obecnej fazie konfrontacji większa niepewność i ryzyko towarzyszą ofensywie amerykańskiej niż chińskiej. To Stany Zjednoczone ze wszystkimi swoimi przewagami poddają się weryfikacji w konfrontacji z Rosją i Państwem Środka i wiele wskazuje na to, że nie podołają skuteczności podejmowanych ryzykownych wypraw.

Obłędna logika eskalacji...

wojny na Ukrainie pokazuje, że USA nie osiągają swoich strategicznych celów „osaczenia” Rosji, a strategia nastawiona na „pokonanie Kremla i zwycięstwo Ukrainy” prowadzi donikąd. Sprowokowanie Rosji do wojny było wynikiem błędnej kalkulacji i zignorowania ryzyka, że USA nie będą w stanie wojować na odległość i na dużą skalę. Z kolei popieranie tej wojny przez sojuszników USA okazało się niebezpiecznym ryzykanctwem. Widać wyraźnie, że największą cenę zapłacą państwa gorliwie zaangażowane we wspieranie Kijowa, takie jak Polska, które nie mają żadnej mocarstwowej „polisy ubezpieczeniowej” nie tylko na wypadek odwrócenia sojuszy Ameryki (kolejnego resetu z Rosją), ale przede wszystkim klęski Ukrainy, jej rozpadu i kryzysu humanitarnego na wielką skalę.

Refleksja nad upadkiem myśli strategicznej w Polsce zasługuje na odrębną uwagę. Odnosi się wrażenie po dotychczasowych obserwacjach, że mamy do czynienia z „szaleńcami u władzy”. Rządzący nad Wisłą nie tylko nie rozumieją zaangażowania Chin w wielką eurazjatycką strategię z udziałem Rosji, a nawet Białorusi, ale także tego, że sami Ukraińcy poszukują wsparcia Państwa Środka, aby uratować cokolwiek w ostatniej fazie

wyniszczającej wojny. Polska ze swoją „polityką wojny”, niezależnie od zmieniających się rządów, wejdzie do historii jako naiwny i krzykliwy podżegacz wojenny, działający przede wszystkim na własną szkodę, zarówno ze względu na emotywną aberrację wobec Ukrainy, jak i na irracjonalne kalkulacje ryzyka.

„Prowincjonalny” punkt widzenia na wojnę na Ukrainie traktuje ją, jakby była ona „zapalnikiem” konfliktu globalnego. Tymczasem w obiektywie wielu państw Azji, Afryki i Ameryki Łacińskiej jest ona źródłem peryferyjnego konfliktu, gdzieś na obrzeżach „wielkiej Rosji”. W Polsce politycy i media narzuciły postrzeganiu wojny na Ukrainie perspektywę globalnego „zderzenia cywilizacji”, manichejskiego i metafizycznego starcia Dobra i Zła, ponadczasowej konfrontacji dwóch wrogich światów. Tymczasem w Unii Europejskiej opinie są zróżnicowane, a zdania podzielone. To nie tylko Węgrzy pokazują drogę zdroworozsądkowego i realistycznego spojrzenia na konfrontację rosyjsko-ukraińską. To także duża część elit państw „Starej Europy” widzi bezsens dalszego wykrwawiania Ukrainy, na obszarze której Ameryka i Rosja pozostawią na długie lata „dzikie pola”.

Państwa, które ze względu na agenturalność elit rządzących utraciły zdolność samodzielnego diagnozowania istoty konfliktów, padają ofiarą ukraińskiego „makiawelizmu”. Ukraina bowiem poszukuje obecnie jakiegoś sposobu na przetrwanie, nie liczy się z moralnymi i heroicznymi hasłami zwycięstwa „za wszelką cenę”. Najważniejsza jest racja przetrwania (reason d’être), nawet za cenę „zgniłych kompromisów” i dogadania się z agresorem.

Do państw „przeegranych” należy niewątpliwie Polska i republiki bałtyckie, łącznie z Finlandią, spacyfikowaną przez amerykańskie służby specjalne, które z posłuchu atlantyckiemu hegemonowi uczyniły istotę swojego poświęcenia i zaangażowania. Mało komu we współczesnej Europie zależy na przekształceniu kontynentu w strefę wojny. Tym bardziej

państwom pozaeuropejskim nie zależy na ryzyku eskalacji konfliktu, który mógłby przynieść katastrofę globalną. Należałoby zatem wezwać elity rządzące w państwach podlegających do kontynuowania wojny na Ukrainie za wszelką cenę, w tym w Polsce, aby ograniczyły swoją absurdalną retorykę i zachowały choć odrobinę reputacji istot rozumnych.

Biorąc pod uwagę złożone uwarunkowania obiektywne i subiektywne środowiska międzynarodowego, mimo napiętej sytuacji w wielu regionach, można dojść do wniosku, że w przewidywalnej perspektywie raczej nie zanoszą się na wielką wojnę między USA a Chinami i Rosją. Każda ze stron dostrzega na szczęście ryzyko niekontrolowalnej eskalacji otwartych konfliktów na Ukrainie czy na Bliskim Wschodzie, a to daje mimo wszystko nadzieję, że niestabilność „na peryferiach” nie przeniesie się do „centrum” geopolitycznej rywalizacji. Jest niemal pewne, że wojny lokalne, ograniczone i prowadzone by proxy pozostaną endemicznym zjawiskiem w systemie międzynarodowym przez długie lata. Nie będzie to jednak oznaczać katastrofy na skalę globalną. Każda ze stron zdaje sobie bowiem sprawę, że w starciu globalnym nie byłoby jednoznacznego rozstrzygnięcia ani zakończenia.

Największe wyzwania stoją przed geopolityką Stanów Zjednoczonych. Borykając się z kryzysami wewnętrznymi, które niosą ryzyko katastrofalnego załamania ich samych, muszą odpowiedzieć sobie na pytanie, czy w imię ideologicznej misyjności warto dźwigać na swoich barkach odpowiedzialność za całość ładu międzynarodowego. Może trzeba powrócić do dawnego modelu „podzielonej odpowiedzialności” międzymocarstwowej? To niewątpliwie jedno z pierwszych zadań nowego prezydenta Ameryki.

Oznaczałoby ono powolne schodzenie z pozycji hegemonu, czemu towarzyszyłaby dekoncentracja amerykańskiej potęgi na rzecz Chin, bez których gospodarka USA nie będzie mogła się rozwijać. Powstrzymywanie Chin i Rosji już dzisiaj skłania Amerykę do bardziej „transakcyjnego” traktowania jej

sojuszników, a nasilający się wyścig zbrojeń po każdej ze stron świadczy o tworzeniu się nowej równowagi międzynarodowej, gwarantującej „zimny i zbrojny pokój” na najbliższe dekady.

Autorstwo: prof. Stanisław Bieleń

Źródło: MyslPolska.info